

Debiutowałem u boku Jezusa

MAREK KALISZUK | Aktor, którego twarz brzmi znajomo, jest gwiazdą nie tylko w tańcu, ale i na scenie. Wciąż poszukuje nowych wyzwań, nie zapominając o olsztyńskich korzeniach.

🐦: Jak się śpiewa ze sztuczną szczęką i maską kobiety na twarzy?

MAREK KALISZUK: No i jeszcze z kilkoma innymi atrybutami kobiety, które wchodzi w zakres charakteryzacji. Jak się śpiewa? Ciężko. W programie „Twoja twarz brzmi znajomo” przyszło mi wcielić się z różne ikony muzyki, nie tylko kobiety i za każdym razem było to niezwykle trudne wyzwanie. Nie traktowałem tego jak zwykłego zadania aktorskiego, bo śpiewanie na przykład ze sztucznymi zębami zupełnie zmienia dykcję. Człowiek zaczyna seplenić. Pół biedy, gdy były to utwory w języku angielskim, ale gdybym na przykład wylosował Michała Bajora słynącego ze świetnej dykcji, byłoby jeszcze trudniej.

Wygrywając drugą edycję programu „Twoja Twarz brzmi znajomo”, można powiedzieć, że świetnie stopniował pan napięcie. Odtwarzając ikony muzyki światowej, a na końcu, tym razem z własnego wyboru, wcielając się w postać Marii Callas.

Wybór na początku wydał mi się szalony, a potem tak się go przestraszyłem, że zacząłem żałować. Miałem nieprzespiane noce. Po trzech dniach uczenia się tej arii wpadłem w panikę.

Ale oddał ją pan w każdym spojrzeniu, ruchu, geście, nie mówiąc już o głosie.

To było świetne zadanie aktorskie i bardzo emocjonujące. Oglądałem mnóstwo jej nagrań, starałem się zapamiętać każdy gest. Kiedy wcielałem się w daną postać, zależało mi na oddaniu nie tylko jej sposobu śpiewania, ale też stanu emocjonalnego. Wyciągnięciu z niej jej energii.

Czyli stał się pan wampirem energetycznym.

Coś w tym rodzaju...

Czy taki program nie daje jednak zbytniego poczucia własnej wartości: skoro potrafię śpiewać tak jak największe gwiazdy, to jestem geniuszem...

Nawet najlepsza „podróbka” Marii Callas nie zastąpi Marii Callas. Mimo że mój występ został świetnie oceniony, to teraz, jak na niego patrzę, dochodzę do wniosku, że niektóre rzeczy bym poprawił. Mnie samouwieblenie z pewnością nie grozi. Myślę, że mam w sobie raczej dużo skromności i pokory i zawsze skupiam się na pracy. Tak zostałem wychowany.

Aktor musi wierzyć w siebie, bo inaczej nie wyszedłby na scenę.

To prawda, ale długo brakowało mi tej pewności. Pamiętam moje początki w Teatrze Muzycznym w Gdyni, kiedy musiałem wejść na dużą scenę, grała wielka orkiestra, a ja byłem cały w stresie. Ten stres mnie spalał. Bałem się, że czegoś zapomnę, że zaśpiewam nieczysto. Minęło sporo czasu, nim uświadomiłem sobie, że nie



♦ Marek Kaliszuk

prowadzę operacji na otwartym sercu. Ze jestem tylko człowiekiem i mam prawo mieć słabszy dzień. To oczywiście nie zwalniało od odpowiedzialności i dążenia do perfekcji. Zresztą w tym zawodzie jest taka adrenalina, że po wyjściu na scenę choroba, ból czy jakieś prywatne zmartwienia schodzą na dalszy plan.

A debiutował pan u boku Jezusa...

No, można tak powiedzieć, bo na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni po raz pierwszy pojawiłem się

W tej chwili półzartem mogę powiedzieć, że marzę o zagranii psychopatycznego mordercy

właśnie w „Jesus Christ Superstar”, ale rozpoznawalny byłem dopiero w „Śnie nocy letniej” z muzyką Leszka Możdżera, gdzie Wojtek Kościelniak obsadził mnie w roli Demetriusza.

Patrząc na pana drogę artystyczną, widać, że chce się pan sprawdzać na różne sposoby, stąd praca w teatrze, udział w serialach, potem „Taniec z gwiazdami” i „Twoja twarz brzmi znajomo”.

Zawsze jest to jakaś szansa, by się sprawdzić w różnych dziedzinach, choć dla mnie, aktora teatru muzycznego, są to dziedziny pokrewne. I tamte doświadczenia mające też wymierny efekt komercyjny wykorzystuję w dalszej pracy. Po „Tańcu z gwiazdami”, gdzie nie kryłem się za konkretną postacią, lecz wystąpiłem z imienia i nazwiska, zaproponowano mi rolę nauczyciela salsy w serialu „Na Wspólnej”.

Czy w gronie fanów jest jakaś silna grupa ze Szczecina?

Bez wątpienia. Przede wszystkim rodzina. Mamie dedykowałem ten odcinek, gdy zaśpiewałem Hankę Ordonównę. Rodzina to najwierniejszy fanklub, ale jest też grono znajomych, którzy pisali do mnie po każdej edycji programów z moim udziałem. Są i nieznanymi olsztynianie, którzy dają o sobie znać na portalach społecznościowych.

A kiedy postanowił pan zostać artystą?

Już w dzieciństwie. Wpłynęła na to atmosfera domu pełnego muzyki. Mama i siostra śpiewały, tato grywał na gitarze, komponował i podśpiewywał. Trudno było nie złapać bakcyła.

I do tego w Olsztynie jest zamek, w którym od lat „Śpiewamy poezję”...

Moja siostra wielokrotnie brała udział w tym festiwalu. Ona zawsze lubiła takie liryczne klimaty, ja nie do końca się w nich odnajduję. Szedłem raczej w kierunku

muzyki rozrywkowej. W trzeciej klasie liceum dowiedziałem się, że istnieje studium wokalnno-aktorskie przy Teatrze im. Baduszkowej w Gdyni. Uznałem, że to jest idealne miejsce dla mnie, bo łączy aktorstwo, taniec i śpiew. Śpiewałem chyba nieźle, a w Olsztynie w zespole ludowym Warmia ćwiczyłem oberki i krakowiaki. To wszystko zaczęło się przenikać. Decyzja była więc jedna.

Rodzice oponowali?

Trzymali kciuki, ale nie bardzo wierzyli, że się uda. Tak po prostu, bez znajomości, bez koligacji w świecie artystycznym. A jednak się udało i to za pierwszym razem.

Jest pan typem wędrowca czy raczej przywiązuje się do miejsc, ludzi i trudno odnajduje w nowym środowisku.

Już się nie przywiązuję. Przez długie lata byłem związany z Gdynią. Potem uznałem, że warto pomyśleć o nowych wyzwaniach. Myślę, że bardziej niż do miejsc przywiązuję się do ludzi. Te ciągłe zmiany ułatwiają życie i oczyszczają energię.

W warszawskim Capitolu zaproponowano panu rolę wymarzoną dla pana, czyli młodego obiecującego śpiewaka w „Dajcie mi tenora”.

To trudne zadanie, bo po długich partiach tekstowych, czasem bardzo dynamicznych, muszę zaśpiewać kilka utworów operowych czy operetkowych. Tak po prostu, z marszu.

Przed panem kolejna premiera, czyli „Klatka dla ptaków”.

To dla wielu widzów będzie niespodzianka. Nie chcę ujawniać szczegółów, ale mam nadzieję, że spektakl zapewni dobrą zabawę, ale też będzie lekcją tolerancji. W Teatrze Capitol gra mi się świetnie. Przedstawienia cieszą się wielkim powodzeniem. Ludzie otrzymują tu porcję dobrej rozrywki, dawkę uśmiechu, która jest niczym balsam dla duszy, zwłaszcza w tak trudnych czasach. Cieszę się z możliwości pracy z uznanymi aktorami. „Klatkę dla ptaków” wyreżyserował mistrz Andrzej Strzelecki, niedawny rektor warszawskiej Akademii Teatralnej. Przedstawienia warszawskiego Capitolu sporo podróżują po Polsce. Mam nadzieję, że kiedyś trafią także do Olsztyna. Bo tego mi bardzo brakuje.

A jest jakaś rola, o której pan marzy?

Rola wokalisty. Jesienią powinna ukazać się moja debiutancka płyta. Pracuję nad tym, aby moje piosenki zabrzmiały na antenie rozgłośni radiowych i na festiwalowych scenach. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to niebawem usłyszycie Państwo pierwszy singiel. A wtedy na pewno zawitam do rodzinnego Olsztyna z koncertem! ☺

—rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski